

STACHURA BEZ SWETRA, ZA TO Z KRWI I KOŚCI!

WYWIAD Z JACKIEM „BUDYNIEM” SZYMKIEWICZEM O PROJEKCIE BABU KRÓL

NA ZACHÓD!

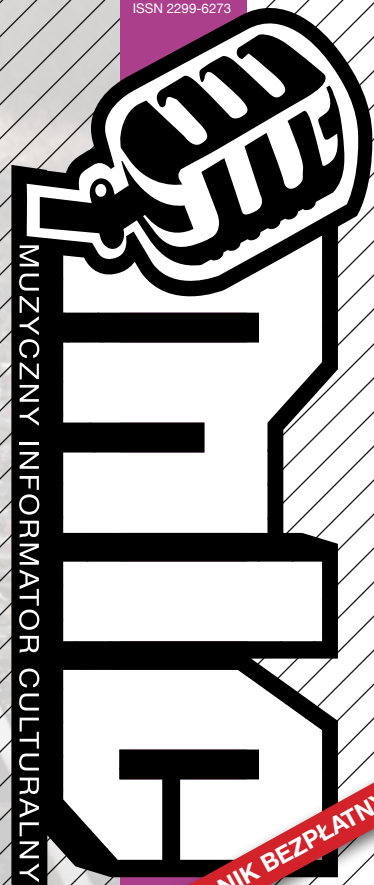
O ZESPOŁACH, KTÓRE PRÓBOWAŁY SWOICH SIŁ ZA GRANICĄ

FISZ VS LITZA

PODRÓŻOWAĆ JEST BOSKO

CZYLI O MUZYCZNYCH WOJAZACH BEZ WYCHODZENIA Z DOMU

numer
luty 2013
#02
ISSN 2299-6273



MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

KWARTALNIK BEZPŁATNY

#02

luty 2013

Redakcja: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki, ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Prowadzenie, opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt

Projekt, opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Okładka: fotografia - Iwona Bielecka

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Paweł Panic, Sławomir Kuźnicki

Nakład: 3 000 egzemplarzy

Wydawca: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki, ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

© Copyright by MIC

„Muzyczny Informator Culturalny”

KWARTALNIK BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



Amfiteatr / Sala Kameralna
Opole, ul. Piastowska 14a

SPIS TREŚCI

SHORTY

newsy, ciekawostki, informacje

___ str. 04

HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI

Serge Gainsbourg. Brigitte Bardot i ekskomunika

___ str. 06

VERSUS

FISZ kontra LITZA

___ str. 07

NA ZACHÓD!

o zespołach, które próbowały swoich sił za granicą

___ str. 08

GALERIA: WOJCIECH MAZOLEWSKI QUINTET

relacja z koncertu w Sali Kameralnej NCPP

___ str. 10

GALERIA: ŁĄKI ŁAN

relacja z koncertu w Sali Kameralnej NCPP

___ str. 12

PODRÓŻOWAĆ JEST BOSKO

czyli o muzycznych wояжach bez wychodzenia z domu

___ str. 14

W OGIEŃ!

subiektywnie o nowej płycie KIM NOWAK

___ str. 16

STACHURA BEZ SWĘTRA, ZA TO Z KRWI I KOŚCI!

wywiad z Jackiem „Budyńniem” Szymkiewiczem
o projekcie Babu Król

___ str. 17

ZALECA SIĘ

film, koncert, muzyka

___ str. 18

TIK-TAK

czyli szpan na miarę naszych możliwości

___ str. 20

WPROWADZENIE

DRUGI, GRUBSZY, LEPSZY

Stało się. Debiut mamy za sobą, teraz czas na część kolejną, w tym przypadku drugą. Niby nic, następny numer, a tu proszę, od razu zmiany! Zamiast 12, od teraz, MIC będzie miał 24 strony. Czyli grubszy i, mamy nadzieję, lepszy. Bo, że drugi, to na pewno. A co można znaleźć wewnątrz? Oczywiście „moc atrakcji, czyli jeszcze więcej ciekawych artykułów, zdjęć i newsów ze świata gwiazd, słowem wszystko to, co Was interesuje i bez czego...”.

Pull up, pull up, tudzież: stop! Hammer time!

MIC to nie jakieś Party, Show czy inna, o zgrozo, „lajfstajlowa” reklamowo-rozrywkowa papka. Z drugiej strony „VICE to to nie jest...”, owszem. Czyli co? Przekonajcie się sami, bo w drugim MIC’u piszemy między innymi o próbie podróży bez wyjścia z domu oraz o wojażach rodzimych artystów na rynku zagraniczne. Nie zabraknie też wywiadu, relacji z najlepszych koncertów, zapowiedzi tych, które przed nami, recenzji płyt i newsów związanych z muzyką oraz... Tik-Taka i Fasolek! A jako że jest to pierwszy numer w nowym roku, nie unikniemy również kilku ocen i podsumowań. Jak najbardziej subiektywnych, oczywiście.

Marek Szubryt



MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie

www.mic.ncpp.pl

WARSZAWA CELIŃSKIEJ

Stanisława Celińska zaskoczyła wszystkich niecodzienną współpracą. Muza Krzysztofa Warlikowskiego, który aktorsko stworzył ją na nowo, nagrała album z piosenkami o swoim rodzinnym mieście, Warszawie. Podjęła współpracę z Bartkiem Wąsikiem, który wraz z Royal String Quartet przearanżował najsłynniejsze pieśni o stolicy. Szerokie spektrum projektu łączy interpretacje piosenek Grzesiuaka, Santor, Bajmu oraz utwory przedwojenne. Nie zabrakło tak zaskakujących propozycji, jak „Warszawa” zespołu T.Love czy „Sen o Warszawie” Niemena. Teksty Osieckiej, Młynarskiego, Tuwima za pomocą niepowtarzalnego głosu i interpretacji Celińskiej wybrzmiewają z nową siłą.

Michał Mościcki

KULTOWA WIOSNA

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że tegoroczna wiosna przyniesie nam nowy album formacji dowodzonej przez Kazika Staszewskiego. Mowa oczywiście o Kulcie, który ostatnią studyjną płytę wydał w 2009 roku. Grupa ma już gotowe 4 kompozycje i choć album zapowiadany jest jako krótki i treściwy, krążek zawierać będzie 12 piosenek. Nad realizacją całości pieczę sprawuje Adam Toczko, osoba odpowiedzialna za sukces niejednej płyty na polskim rynku.

Rafał Czarnacki



SIEWCY POWRACAJĄ

Po oficjalnym zawieszeniu projektu Grinderman, Nick Cave postanowił nagrać płytę z przyjaciółmi z The Bad Seeds. Efekty kolaboracji poznamy 18 lutego, kiedy to wydawnictwo zatytułowane „Push The Sky Away” ujrzy światło dzienne. Australijska gwiazda jest pełna optymizmu i nie może wyjść z podziwu, opowiadając o współpracy z Warrenem Ellisem, multiinstrumentalistą odpowiedzialnym za kompozycje. Album zapowiada singiel „We No Who U R”, który w grudniu 2012 roku zespół zaprezentował światu.

Michał Mościcki



Nick Cave | The Black Seeds

DAVE GROHL ZA KAMERĄ



Dave Grohl

Perkusista Nirvany i założyciel Foo Fighters wyreżyseruje dokument pt. „Sound City”, mówiący o legendarnym studiu nagrań, które w 2011 roku zakończyło swoją działalność. Na konsolach Sound City nagrywały takie tuzy muzycznego świata jak Nirvana, Rage Against The Machine, Tom Petty, Metallica, Neil Young czy Fleetwood Mac. - Jako debiutujący filmowiec cieszę się, że mogłem podzielić się swoją pasją z grupą wspaniałych muzyków. Film opowiada o legendarnym dla amerykańskiej muzyki miejscu. Tu działa się historia - powiedział Grohl. Zacieramy ręce.

Rafał Czarnecki

„BRATERSTWO” NA SAM KONIEC

To już pewne, Hemp Gru kończy swoją działalność. Jeszcze nie tak dawno, bo w połowie grudnia, swoją premierę miała płyta zatytułowana „Braterstwo”, która w założeniu zamykała tzw. „Trylogię JLB: Jedność, Lojalność, Braterstwo”. Jednak jej pojawienie się na rynku poprzedziło oświadczenie zespołu, które dla fanów było niemalym zaskoczeniem. Panowie ogłosili bowiem, że „Braterstwo” kończy działalność Hemp Gru. Zarówno Wilku, jak i Bilon nie wykluczyli współpracy w przyszłości, miałyby ona jednak koncentrować się wokół ich projektów solowych. Zanim to jednak nastąpi, muzycy zdecydowali się na trasę pożegnalną, która nie ominie także Opola. Koncert Hemp Gru w ramach trasy „Braterstwo” odbędzie się w NCPPP 8 marca, bilety w cenie: 30 zł (przedsprzedaż) i 40 zł (w dniu koncertu).

Marek Szubryt

CHASYD MATEUSZ I DUB. DUB TRIO!



Matusyahu

Wiadomość to wesoła, bo oto we Wrocławiu wystąpi Matusyahu, postać nietypowa i, z całą pewnością, charakterystyczna. Jakby ktoś nie wiedział, o kim mowa, to proszę sobie przypomnieć brodatą sylwetkę z pejsami, ubraną w czarny chasydzki garnitur, śpiewającą żywiołowe reggae. Trudno powiedzieć, co bardziej przyciągało, sama muzyka, w którą artysta wplata elementy hip-hopu (sam Matusyahu często na koncertach przeistacza się w beatboxera), czy nietypowy i, co by nie mówić, oryginalny image. Matthew Paul Miller nie od razu odkrył swoje korzenie, gdyż z początku wiodł życie raczej buntownicze, by dopiero po wycieczce do Izraela i zakolegowaniu się z nowojorskimi chasydami odnaleźć powołanie: muzykę i Boga. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie fakt, że po kilku całkiem niezłych płytach przyszedł czas na tę ostatnią, „Spark Seeker”, z którą artysta przyjeżdża do Polski. Tym samym 28 lutego we Wrocławiu nie macie się co spodziewać brodatego chasyda, bo Matusyahu zgolił brodę i miał czarnego garnituru wybiera raczej pastelowe koszulki. Image jak image, ale muzyka też uległa zmianie... Nie załamujcie jednak rąk, bo po pierwsze, na koncercie trzeba grać także starsze kawałki, a po drugie, jego zespołem od dłuższego czasu jest brooklyńskie Dub Trio, kapela która w rewelacyjny sposób łączy ciężkie gitary i mięsisty dub. Panowie są znakomitymi muzykami, także sesyjnymi [basista pomaga m.in. 50Centowi], ale dopiero na żywo pokazują swoje umiejętności, dlatego każdy ich koncert, zarówno jako Dub Trio, jak i ten z Matusyahu, to reggae'owo-gitarowo-dubowa jazda bez trzymanki. A że na przyjazd Dub Trio do Polski na razie nie mamy co liczyć, może się okazać, że jest to jedyna szansa, by zobaczyć ich na żywo. A ich występ można polecić bez obaw.

Marek Szubryt

HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI BRIGITTE BARDOT I EKSKOMUNIKA

Powiedzieć, że Serge Gainsbourg jest we Francji postacią kultową, to nie powiedzieć nic. To absolutna ikona, fundament francuskiej piosenki, artysta uwielbiany i nienawidzony zarazem, zazwyczaj z tego samego powodu: otaczających go pięknych kobiet, morza alkoholu i dymu palonych nieustannie gitane'ów. Choć w oczywisty jego pozycja jako jednego z największych artystów jest niezachwiana, na świecie twórczość Gainsbourga nie odbiła się szerokim echem. Nie zmienił tego fakt, że na inspirację jego dorobkiem powoływali się wybitni artyści z przeróżnych muzycznych światów, poczynawszy od Johna Zorna, przez Sonic Youth i Becka, skończywszy na francuskim raperze MC Solaar. Pewnym można być jedynie tego, że jedną z jego najważniejszych kompozycji - „Je t'aime... moi non plus” - znają na wszystkich kontynentach, z reguły za sprawą skandalu, jaki wywołała jej publikacja. Pomimo iż rozgłośnie radiowe na całym świecie obiegła wersja singla z roku 1969, zarejestrowana wspólnie z Jane Birkin, to utwór powstał dwa lata wcześniej na specjalne życzenie Brigitte Bardot. Aktorka nagrała go wraz z Serge'em, z którym łączył ją płomienny romans, prosząc go uprzednio o napisanie „najpiękniejszej piosenki o miłości, jaką można sobie wyobrazić”. Dwugodzinną sesję nagraniową przyniosła

efekt w postaci niezwykle namiętnego wyznania miłosnego, pełnego westchnień, jęków i cichych okrzyków Bardot. Prasa skutecznie podchwyciła plotkę, jakoby utwór był zapisem aktu miłosnego pomiędzy artystami. Ówczesny mąż aktorki, wpływowy milioner Gunther Sachs, zażądał wycofania nagrania, a jej agent, z uwagi na intratne propozycje filmowe, odradził wydanie singla. Na prośbę samej Brigitte Gainsbourg schował taśmy



Serge Gainsbourg i Jane Birkin

z sesji nagraniowej do szuflady. Ujrzały światło dzienne dopiero w 1986 roku. Kolejny romans w życiu Serge'a przyniósł nową wersję „Je t'aime...”, którą zaśpiewała tym razem Jane Birkin, jego ówczesna muza i miłość życia. Premieraniosła za sobą jeszcze większy skandal niż poprzednio. Zakazano jej emisji m. in. w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Szwecji. Jej dystrybutor we Włoszech został ukarany sporą grzywną, a Watykan nałożył na niego ekskomunikę. Przekład tytułu utworu przysporzył niejednemu tłumaczowi wielu kłopotów, gdyż jest on niejednoznaczny. Bartosz Chaciński zaproponował w swoim przekładzie wersję, która brzmiała „Kocham Cię - ja nic ponadto...”, która sugerować ma wydźwięk miłosny kompozycji. Wątpliwości rozwiewa sam autor, który wskazuje na pożądanie jako główną motywację bohaterów. Przywołuje słowa Salvadora Dalego, będące inspiracją dla przewrotnego tytułu: „Picasso jest Hiszpanem - ja też. Picasso to geniusz - ja też. Picasso jest komunistą - ja też nie”. Zamieszanie, jakie wywołał Serge piosenką z Jane Birkin, to tylko jedna z licznych kontrowersji związanych z jego osobą. Skandale obyczajowe, wywiady telewizyjne udzielane po pijanemu, burdy i awantury w klubach z publicznym paleniem pieniędzy włącznie, były specjalnością Gainsbourga. To jednak tylko część prawdy o barwnym człowieku, który jednocześnie potrafił obsypywać kobiety kwiatami, pisać najpiękniejsze piosenki o miłości i płakać przy fortepianie rzewnymi łzami. Podobnie jak cała Francja w momencie, kiedy odszedł.

Michał Mościcki

FISZ

KIM NOWAK / TWORZYWO

Najnowsze muzyczne odkrycie:

Najczęściej wracam do starych płyt. Piękna jest składanka wydana przez Soul Jazz Records- „Girls in country”. To dla mnie odkrycie. Nigdy bym się nie spodziewał, że właśnie w gatunku country powstało tyle pięknych pieśni.

Ulubiony artysta „na żywo”:

Bardzo się cieszę na trasę zespołu No Means No po Polsce. Świetnie wspominam też koncert Pixies na festiwalu Primavera. Dobrze zobaczyć „na żywo” bohaterów z przeszłości.

„Beatlesi czy Stonesi”?

Nie do końca moja bajka. Ja bym powiedział: Sonic Youth. Beatlesi za „Revolver”, Stonesi za energię.

Inspiruje mnie...

...

Jeśli duet to z kim?

Od lat najlepiej współpracuje mi się z bratem. Niech tak zostanie.

Najciekawszy okres w historii muzyki to lata?

Lata 60-te za Hendrixa, Boba Dylana, ale i świetne płyty Miles’a Davis’a. Również lata 90-te, w których dorastałem muzycznie. Rozkwit hip-hopu i wspaniałe, energetyczne płyty Nirwany, Rage Against The Machine, Morphine...

Często wracam do płyty...

Ostatnio „The Night” Morphine.

Opole kojarzy mi się z?

Festiwałem hip-hopowym prowadzonym przez Hirka Wronę.



VS



LITZA

LUXTORPEDA / KNŻ / 2TM2,3

Najnowsze muzyczne odkrycie:

The Toobes z Białorusi - niesamowity band z klimatem lat 70-tych. Super gitarzysta i świetne kompozycje! Śpiewający perkusista! Czad!

Ulubiony artysta „na żywo”:

Folkowy zespół Dikanda. Po każdym koncercie czuję się jak po dobrej butelce wina.

„Beatlesi czy Stonesi”?

Boney M raczej. Serio, to wczesny punk rock bardziej mnie poruszał.

Inspiruje mnie...

Żona, życie, gitara, przyjaciele z Luxtorpedy

Jeśli duet to z kim?

Z żoną

Najciekawszy okres w historii muzyki to lata?

Dzisiaj mógłbym powiedzieć lata 90-te, bo odbierałem to jako nastolatek, ale ja po prostu lubię „dzisiaj”.

Często wracam do płyty...

„Deliverance” grupy Corosion of Conformity. Piękne gitary i głos.

Opole kojarzy mi się z?

TSA i Stefanem Machelem, który mnie zainspirował do grania na gitarze.

na zachód! tam musi być jakaś cywilizacja

Czy polska muzyka popularna może być towarem eksportowym? Niektórzy wykonawcy po sukcesach na rodzimym rynku coraz śmieiej wspominają o karierze na arenie międzynarodowej. Na początek słyszymy o Europie, ale chęć wypłynięcia na rynki inne niż polski jest zauważalna. A dziś, w epoce cyfrowej, w której Internet staje się medium dominującym (o ile już nie jest), może okazać się to łatwiejsze, niż wielu przypuszcza.

(Nie tak) dawno, dawno temu

Osobą, która na przełomie lat 60-tych i 70-tych w widoczny sposób zaznaczyła swoją muzyczną obecność, był Czesław Juliusz Wydrycki, znany szerszej publiczności jako Czesław Niemen. Na początku artysta występował z zespołem Niebiesko-Czarni (choćby koncert we francuskiej Olimpij), ale już pod koniec lat 70-tych, jako I Niemen, a następnie jako Niemen Enigmatic wydał kilka singli we Włoszech. Powoli krystalizował się charakterystyczny styl muzyczny, który wypełniał już 4 studyjne albumy wydane w Republice Federalnej Niemiec. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym ostatnim, czyli „Mourner’s Rhapsody”. W 1974 roku płyta ukazała się w Wielkiej Brytanii, a dwa lata później wytwórnia CBS wypuściła ją w Ameryce. Niestety, mimo ogromnego talentu i niezaprzeczalnej oryginalności, nie miało to przełożenia na sferę komercyjną. Nie można też nie wspomnieć o SBB, które ze swoimi występami dotarło m. in. do Czechosłowacji, Węgier, Holandii, Belgii, Austrii czy Finlandii. Józef Skrzek w jednym z wywiadów powiedział: „Gdyby John Lennon, Eric Clapton albo nawet Sting chcieli zrobić karierę na Zachodzie, wyjeżdżając ze Śląska przez NRD, to jestem ciekaw, co by osiągnęli? Ciekawe czy więcej niż my?”.

Wieki Średnie

W 1982 roku Maanam po raz pierwszy wyjeżdża na koncerty do Holandii. I jakkolwiek to dziwnie nie zabrzmia, oprócz samej muzyki, była to także wypadkowa zainteresowania Polską, jako „tym dziwnym krajem ze Wschodu”, w którym istnieje Solidarność. Zachodnia publiczność na koncerty Maanamu stawiała się w ogromnych ilościach. Rok później w Niemczech, krajach Beneluksu oraz Skandynawii ukazał się „Night Patrol”. Płyta została dobrze przyjęta, szczególnie w Niemczech, dzięki czemu zespół miał nie tylko możliwość zagrania tam koncertów, ale doczekał się nawet swoich fan clubów. Dwa lata później Maanam wydał „Wet Cat”, niestety w tym samym roku, na skutek tarć w zespole, grupa zawiesiła działalność. Pisząc o latach 80-tych nie można nie wspomnieć o Republice, która w roku 1984 nagrała raz jeszcze album „Nowe sytuacje”, tym razem z angielskimi tekstami. Krążek ukazał się w Wielkiej Brytanii pod nazwą „1984”. Zespół zdążył zagrać na słynnym duńskim festiwalu Roskilde, ale płyta przeszła bez echa. Kolejną ofensywę na zachodnie rynki muzyczne przypuścił zespół Lady Pank. W 1985 roku w USA ukazała się płyta „Drop Everything”, którą promowała piosenka o znajomo brzmiącym tytule „Minus zero”. Obraz do tego utworu zrobił sam Zbigniew Rybczyński, a klip był pierwszym polskim teledyskiem pokazywanym w MTV. Tym razem na przeszkodzie kariery stanęła ponoć słaba znajomość języka angielskiego członków kapeli. Do historii przeszła natomiast opowieść o propozycji grania supportów na trasie koncertowej Madonny, którą management grupy jednak odrzucił, uważając, że Lady Pank jest zespołem... zbyt poważnym, by poprzedzać koncerty Madonny.



Maanam - okładka płyty „Nocny Patrol”



KAMPI

Młoda Polska

Lata 90-te to okres, kiedy nasz kraj ulegał gwałtownym przeobrażeniom. To także czas, kiedy wspominało się o zagranicznym kontrakcie zespołu Hey, i choć na pogłoskach jedynie się skończyło, kariera zapowiadała się ciekawie. Swoją szansę miał też zespół Houk. Kapela wystąpiła na targach Midem, co było nagrodą za zajęcie pierwszego miejsca w plebiscycie słuchaczy Radia France International. W następstwie tych wydarzeń grupa miała jechać na tournée po USA, lecz jak często w takich przypadkach bywa, przez wewnętrzne problemy w zespole, do trasy nie doszło. Próbę przebicia się na rynku zachodnie podjęła również Kayah. Choć album "JakaJaKayah" miał premierę w dziewięciu krajach europejskich, przeszedł bez echa. Myslovitz, jeszcze w składzie z Arturem Rojkiem, również wyruszył na podbój Europy. Były płyty wydawane na Zachodzie, były koncerty na europejskich festiwalach, grupa poprzedzała występy takich gwiazd jak Simple



Monika Brodka

Minds czy Iggy Pop, ale i tym razem – niestety – nic z tego nie wyszło. Chcąc być rzetelnym, trzeba wspomnieć, że najbliższym zagranicznego sukcesu była Edyta Górniak. Pierwszy anglojęzyczny album piosenkarki osiągnął status złotej płyty w Norwegii oraz srebrnej płyty w Szwajcarii i Portugalii. Potem niestety było już gorzej. Nie można też zapomnieć o sukcesie Basi Trzetrzelewskiej. Urodzona w Jaworznie wokalistka obracająca się w stylistyce popowo-jazzowej, po wyjeździe na Zachód osiągnęła niemały sukces.

Współczesność

Co ciekawe, najlepszymi polskimi towarami eksportowymi, które regularnie grywają trasy na zachodzie, są metalowe grupy Vader i Behemoth. Folkowa Kapela Ze Wsi Warszawa, która poza granicami naszego państwa funkcjonuje jako Warsaw Village Band, popularność zdobyła najpierw na obczyźnie. Do tego grona dołączył również Riverside. Lista miast i krajów, które pojawiają się w ramach trasy promocyjnej nowych albumów grupy wprawiłaby w osłupienie i zazdrość niejednego polskiego artystę. Wartym odnotowania jest również fakt, że kultura brytyjska wytwórnia Ninja Tune wydawała nieistniejący już niestety Skalpel. Polscy wykonawcy coraz odważniej patrzą na zagraniczne rynki muzyczne. Coma swój najnowszy album wyda na zachodzie Europy, coraz odważniej o spróbowaniu swych sił poza rodzimym rynkiem wspomina Monika Brodka. Najważniejszym polskim towarem eksportowym wydają się obecnie Kamp! Zespół w końcu wydał długo oczekiwany debiut, który spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem zarówno krytyki, jak i publiczności. Muzyka, która wypełnia debiutancki album, idealnie wpisuje się w światowe trendy. Oczywiście, poza talentem i oryginalnością za artystą musi stać także machina promocyjna, która powie światu o jego istnieniu. Ale czas wielkich wytwórni płytowych powoli odchodzi w zapomnienie. Internet coraz częściej może stać się trampoliną, dzięki której można zaistnieć w świadomości słuchaczy. No bo kto by jeszcze niedawno pomyślał, że Iza Lach będzie nagrywała ze Snoop Dogiem (ile osób wcześniej знаło Izę Lach?), a Jimek zrobi remix Beyoncé?

Rafał Czarnecki

Kamp! i Fair Weather Friends:

15 lutego, godz. 20.00, bilety: 25 zł (przedsprzedaż) i 35 zł (w dniu koncertu)
Riverside:

10 kwietnia, godz. 20.00, bilety: 35 zł (przedsprzedaż) 45 zł (w dniu koncertu)

GALERIA: WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET 19/02/12

WOJTEK – MONSTER OF JAZZ AND PR

Widać, że Wojtek Mazolewski jest na fali. Jego ostatnie albumy cieszą się ogromnym powodzeniem, a podczas koncertów i letnich festiwali zbiera nie tylko sporą widownię, ale też świetne recenzje. Co więcej, okazało się, że pan Wojciech jest także sprytnym i zwinnym zwierciem medialnym.

Wiele osób to jednak denerwuje, przez co nie brakuje mało wybrednych komentarzy na temat jego wybranki, Mai Sablewskiej, jak i jego samego. A co pan Wojciech na to? Zupełnie nic, dalej uśmiecha się do fotoreporterów, bywa tam, gdzie paparazzi polują, zawsze ma czas, zażartuje albo zripostuje celnie jakąś wypowiedź. Słowem, lew salonowy. Jednak to nie jedyna twarz jego działalności medialnej, bo oprawy jego ostatnich albumów to – o czym, niestety, mało się mówi – dopracowane w najmniejszym szczególe perelki. Od okładki („Monster of Jazz” Pink Freud jest tego jednym z pierwszych, dobrych przykładów), znaku graficznego, zdjęć promujących, przez wygląd strony internetowej, po fryzurę i ubiór muzyków na scenie. W Wojtek Mazolewski Quintet np. muzycy umiejętnie łączą garnitury charakterystyczne dla muzyków jazzowych, którym udało się wprowadzić jazza do filharmonii, z punkowymi, nie pasującymi na pierwszy rzut oka elementami. Na rewelacyjnym koncercie w Sali Kameralnej, który moim zdaniem wygrał pierwszy kwartał koncertów w NCPP, muzycy pojawili się w garniturach i różnokolorowych martensach. Niby nic, ale mniej więcej od trzech lat widać dużą dbałość o wizerunek zespołu, którą w dużych przedsiębiorstwach nazwano by budowaniem marki. I w tym rzecz, Mazolewski uświadamia, „że można”, powodując swoim zachowaniem często niechęć tzw. branży. Gra własną muzykę, często niełatwą, idąc jednak na pewne kompromisy, dzięki którym może swobodnie tworzyć. Podczas pierwszej płyty kwintetu od razu było wiadomo, kto jest głównym sponsorem, ale co

z tego? I zgadzam się, muzycznie też gra pod publiczność, ale zachowuje przy tym umiar i smak. Jak? Ano tak, że na single do radia wybiera kawałki, które są łatwiejsze w odbiorze. A do pisania wpadających w ucho melodii to ma talent. Kilka dni przed koncertem w NCPP w jednej z gazet przeczytałem mniej więcej takie zdanie: w NCPP zagra Wojciech Mazolewski Quintet – zespół, który gra reggae. Owszem, singiel i kilka piosenek zawartych na obu płytach, posiadają rytmikę reggae’ową, a na „Wojtek z Czechosłowacji” pojawiła się nawet przeróbka „Chase the devil”, w oryginale utworu jednego z gigantów jamajskiej muzyki, Maxa Romeo. Jednak reggae jest tylko jednym z wpływów, bo to właśnie czerpanie pełnymi garściami z tego, co już powstało, stanowi o sile kwintetu. Jako muzyczną bazę artyści wybrali bowiem takich gigantów jazzu jak John Coltrane, Wayne Shorter czy Miles Davis, którzy, jak wiadomo, nie bali się eksperymentów. Kombinacja dobrych, wpadających w ucho melodii, popisowo wykonanych tematów przez dzieciaki (Marek Pospieszalski i Oskar Torok grali jak natchnieni), zgranej sekcji rytmicznej (perkusista Michał Bryndał jest geniuszem. Tak, geniuszem) i oszczędnych, ale mięsistych w brzmieniu klawiszy Joanny Dudy, daje porażający efekt. W sumie to nic nowego: utwór grupy z dobrze zapowiadających się indywidualności i dopilnuj, żeby całość brzmiała jak należy. Choć „jak należy” nie oddaje dobrze tego, co działo się na koncercie w Sali Kameralnej. Od spokojnego, wysmakowanego początku po istny szal na koniec.

PS 1: Jako bis bisów muzycy zagrali... „Bombtrack” Rage Against The Machine. Nie było czego zbierać.

PS 2: Pod koniec stycznia w NCPP zagrał kolejny skład Wojtka Mazolewskiego, grupa Pink Freud. Muzycy łączą jazz, punk oraz elektronikę i, podobnie jak kwintet, uwielbiają eksperymentować. Oprócz osoby frontmana, Pink Freud z kwintetem łączy jeszcze jedna rzecz: prawdziwy kunszt grupa pokazuje na żywo. W ramach Blade Runner Tour zespół dał występ, który następcom niełatwo będzie przebić.

Marek Szubryt









fotografie: Katarzyna Mach / dwajaka.com

GALERIA:

ŁĄKI ŁAN 16/11/12

WSPÓLNY JĘZYK: EKOSYSTEM, EKODISCO!

Przyznam, że na kolejną płytę Łąki Łan czekałem z niecierpliwością. Po pierwsze zastanawiałem się co panowie wymyślą tym razem, szczególnie, że po usłyszeniu singla „James Lovelock” stało się jasne, że grupa zmienia brzmienie.

Do funku podlanego jazzem, disco i punkową energią Łąki Łan zdecydowali się dodać brzmienie nawiązujące do lat 80-tych. Niby nic nowego, elektronika, także ta kiczowata, już dawno zagościła na płytach artystów, którzy dotychczas znani byli z bardziej gitarowego grania, a syntezatorowe wstawki i mixy nie dziwią już nikogo. Co do tego, że mamy do czynienia z muzykami o dużej wyobraźni i możliwościach nikt też nie ma wątpliwości. Panowie przewinęli się nie tylko przez szkoły muzyczne, ale i różne zespoły, by wymienić tylko Sistars, projekt Nosowska/Osiecka czy Sofa, a Bartek Królik i Marek Piotrowski tworzą duet producencki PLAN B, który m. in. wskrzesił płytą „Sexi, flexi” Natalię Kukulską, a Agnieszkę Chylińską stworzył na nowo. Choć na poprzednich albumach Łąki Łan znajduje się muzyka najwyższej próby [że o rewelacyjnych tekstach Paprodziada nie wspomnę], to muszę też dodać, że brakowało im spójności. Utwory, mimo że bardzo dobre, były nieraz oddalone od siebie stylistycznie, co powodowało, że album nie zasługiwał na najwyższe noty. I żeby było jasne, nie jest to zarzut, który dyskwalifikowałby grupę. Niejeden chciałby nagrać tak lekką i zarazem dobrą płytę, jaką jest „Łąkiłanda”. Po prostu od najlepszych wymaga się więcej.

Szczęśliwie jednak na „Armandzie” znajdujemy to, czego zespołowi złożonemu z indywidualności brakowało: wspólny język. Wydaje się, że na swoim trzecim albumie panowie odnaleźli brzmienie i styl, jakim będą się posługiwać w przyszłości. Nie chce przesadzać, ale „Armanda” to jeden z najlepszych albumów zeszłego roku. Warto to podkreślić, bo płyta ukazała się jesienią, kiedy mogliśmy cieszyć się wieloma naprawdę dobrymi premierami. Przegrać z najlepszymi to nie wstyd, a co dopiero z nimi wygrać? Zgadzam się, był rewelacyjny Kim Nowak [o płycie „Wilk” nieco więcej przeczytacie kilka stron dalej], był Hey, Lao Che, Maria Peszek czy Kamp!. To dobre albo rewelacyjne albumy, ok. Ale „Armanda” ma w sobie coś więcej: świetne teksty, wielopoziomowe kompozycje, aranże, których nie powstydziliby się producenci z rynków znacznie większych niż rodzimy oraz bogactwo gatunków muzycznych, które używane ze smakiem i wyobraźnią dają porażający efekt. Jakby komuś było mało, to jeszcze nie wszystko, bo najistotniejsze jest to, że zespół rewelacyjnie brzmi na żywo! Kto był na koncercie w Sali Kameralnej NCPPP będzie wiedział o czym mówię. A w przypadku Łąki Łan to sztuka nielatwa, bo urozmaicając brzmienie muzycy zmuszeni są wozić ze sobą jeszcze większą ilość efektów, triggerów perkusyjnych i innych „zniekształaczy” dźwięku. I choć w miksie dostępnym na płycie utwory brzmią świetnie, mogło się okazać, że na żywo czar pryska. Nic bardziej mylnego. Na koncercie panowie bawią się muzyką i brzmieniem jak mało kto, a ich występ to energetyczne widowisko na najwyższym poziomie. Ekosystem, ekodisco!

Marek Szubryt

podróżować *jest* bosko



Jak powszechnie wiadomo, podróże kształcą. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, zwłaszcza, gdy zewsząd do naszych uszu dobiega pytanie: „jak żyć?”, a najczęściej udzielaną odpowiedzią zdaje się być: „oszczędnie”. Istnieje jednak kilka sposobów, aby nie ruszając się z domu, pooddychać choćby odrobiną klimatu, jaki panuje w miejscach nieco bardziej oddalonych niż najbliższy warzywniak.

W zupełnie darmową podróż można wyruszyć o każdej porze, w dowolnie wybranym kierunku. Na początek proponuję wybrać się w rejony zupełnie od siebie różne, które dzielą tysiące kilometrów, łączą natomiast język ponadnarodowy - muzyka, która będzie w tej sprawie motywem przewodnim. Ponad granicami przetruliemy dzięki niezwykłym dokumentom muzycznym, a dane nam będzie odwiedzić Turcję, Islandię i Jamajkę, choć kolejność odwiedzanych miejsc jest oczywiście umowna.

Przystanek pierwszy: Stambuł.

W stolicy Turcji lądujemy dzięki Fatihowi Akinowi, który za sprawą swojego filmu pt. „Życie jest muzyką” przenerosi nas na ulice Stambułu, w którym główny bohater, Alexander Hacke, z niezwykłą ciekawością przemierzać będzie zakamarki tętniącej życiem i muzyką metropolii,

zaopatrzeni w profesjonalny sprzęt do nagrywania: mikrofony, komputery i twarde dyski. Stambuł łączy Azję z Europą i pełnymi garściami czerpie z obu. Słychać to w twórczości tutejszych muzyków, którzy z lekkością łączą to, co zachodnie, ze wschodnimi wpływami, choć sami takich podziałów nie uznają. - Nie wierzę, że Wschód zaczyna się w Stambule, a kończy w Chinach, a Zachód rozciąga się od Grecji po Los Angeles. To bzdura - stwierdza z uśmiechem jeden z bohaterów. Rozpoczynamy przygodę od spotkania z psychodeliczną, undergroundową kapelą Baba Zula, której członkowie głęboko wierzą, że otoczenie w znaczący sposób oddziałuje na wykonywaną przez nich muzykę. Całe dni spędzają na barce, pływając po cieśninie Bosfor, oddając się energetycznym jam sessions. Następnie wyruszamy w rajd po wiecznie zapchanych uliczkach, tętniących rytmem nocnych klubów, knajpek i restauracji. Fatih Akin pokazuje nam miasto za pomocą dźwięków, które możemy usłyszeć dzięki spotkaniom przez naszego przewodnika muzykom. To ludzie niesamowici, a ich twórczość pełna jest sprzeczności i paradoksów. Ojciec jednego ze spotkanych raperów opowiada o miłości do Hendrixa, rapujące dziewczyny mówią o tureckich divach z lat 30-tych, a jedna z największych gwiazd tureckiego kina, Orhan Gencebay, z pasją opowiada o swoim instrumencie - baglamie. Odkrywamy ogromny konglomerat dźwięków,

na który składają się przeróżne style muzyczne: muzyka kurdyjska i cygańska, otoczona grunge'em, hip-hopem i jazzem. Przemierzamy ulice stworzone na europejską modłę, pełne kolorowych witryn i galerii, by za chwilę odwiedzić slumsy i wysłuchać ich muzycznej opowieści. Podróż nabiera tempa, co doskonale odzworowuje charakter tego miejsca. Mijamy piękne budynki i wieże meczetów, w oddali mającą zarysy zamków. Stambuł pełen dźwięków, gdzie przeplatają się ze sobą odgłosy targowania się, nawoływanie muezina do modlitwy i skwierczenie budek z jedzeniem, wciąga i nie daje odetchnąć. Pięknie o swoim dziedzictwie opowiadają napotkani ludzie, świadomi swojej tożsamości. To przede wszystkim oni kreślą nam specyficzny obraz swojego miasta. Wszystko jednak łączy się w całość dzięki ogromnej mocy, jaką niesie ze sobą muzyka... Wizyta w Turcji z pewnością oszałamia, proponuję zatem obrać nowy kierunek, aby nieco uspokoić zmysły. Wyruszamy na północ.

Cel numer dwa: Islandia

Po „lodowej ziemi” przewodnikami będą nam ludzie niezwykli, bo muzycy zespołu Sigur Rós, którzy poprzez realizację filmu „Heima” postanowili pokazać nam ten niezwykły zakątek świata. Przemierzamy zatem wyspę śladem niezapowiedzianych występów zespołu, które odbyły się w niecodziennych lokalizacjach.

Odwiedzamy kameralne domy kultury, place niewielkich miast, poloniny i postindustrialne wnętrza. Poznajemy niezwykłych ludzi, pełnych optymizmu, którzy na koncerty przybywają całymi rodzinami. „Heima” ukazuje nam Islandię jako kraj ludzi bardzo radosnych, co potwierdzać może fakt, że znaleźli się on wysoko w rankingu najszczęśliwszych krajów świata. Zadziwiająco, biorąc pod uwagę, że w ciągu roku są momenty, gdy dzień trwa tam zaledwie dwie godziny. Artyści wchodzą we współpracę z mieszkańcami: lokalnymi chórami, orkiestrą dętą i człowiekiem, który tworzy muzykę, grając na wysuszonych gałęziach stuletniego rabarbaru. Wszystko toczy się swoim rytmem, pełne jest harmonii i spokoju, podobnie jak twórczość chłopaków z Sigur Rós. Piękno wyspy, pełnej zapierających dech krajobrazów i przestrzni, doskonale współgra z dźwiękami, którymi raczą nas artyści. Nie można pozbyć się wrażenia, że muzyczny język, którym się posługują jest nierozdzielnie połączony z mocą otaczającej nas natury... Aby jednak urozmaicić naszą odyseję, proponuję opuścić urzekającą wyspę, pełną kojących dźwięków wydobywanych przez islandzkich muzyków i wyruszyć na drugi koniec świata. Czas, by wsmaganą wiatrem skórę uraczyć jamajskim słońcem.

Stacja trzecia: Kingston

Do rozpalonego Kingston przybywamy za sprawą reżysera, Teda Bafaloukosa. To wyprawa niezwykła, bo zakładająca podróż do przeszłości. Jest rok 1978, a my otrzymujemy barwnego przewodnika i zarazem głównego bohatera filmu „Rockers”, którym jest perkusista imieniem Horsemouth, mieszkający w jednej z najbiedniejszych części jamajskiej stolicy. Ten niezwykle wygadany gość pokaże nam oblicze Jamajki, jakiego nie dane nam uświadczyc na kolorowych pocztówkach, a tym bardziej w kolorowych katalogach biur podróży. Możemy śmiało zapomnieć o wczasach all inclusive, lecz przygód z całą pewnością nie zabraknie. Trafiamy w sam środek getta, poznajemy okolice

pulsującą w rytmie reggae, duszną i rozwrzeszczaną, a niezwykła ekspresyjność Horsemouth'a i jego przyjaciół, wyrażona w jamajskim slangu patois, będzie nam towarzyszyć do końca. Przewodnik wpada na genialny pomysł, jak uczynić swoje życie bardziej zasobnym i postanawia wszystkie swoje oszczędności, wsparte kredytem u kumpi, zainwestować w motocykl. Rozwozić nim będzie wzięte w komis świeżutkie winyle z najlepszą jamajską muzyką, a my będziemy przemierzać wyspę wraz z nim. Tym sposobem nasza przygoda w Kingston nabiera kolorów. Poznajemy największych twórców muzyki reggae: Burning Spear'a, Jacoba Millera, Gregorego Isaacs'a i tym samym zgłębiamy ich twórczość. Swoim motocyklem z wymalowanym Lwem Judy, Horsemouth zabiera nas do tłoczni płyt, muzycznych wytwórni i dystrybutorów, pokazując jednocześnie niezwykle zakątki wyspy i ludzi, którzy ją zamieszkują. Odwiedzamy małe spelunki i duże kluby pulsujące w rytm dźwięków generowanych



przez selektorów i dj'ów wszechobecnych w mieście soundsystemów. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że muzyka reggae we wszystkich swych odmianach jest wszędzie, a serce Jamajki bije jej rytmem. Piękna wyspa niesie jednak pewne zagrożenie. Kingston bowiem nie jest rajem na ziemi, a chętnych do bójk, rozboju czy kradzieży nie brakuje. Duszny klimat panuje nie tylko ze względu na palące słońce i niewiarygodną wilgotność, lecz także za sprawą powszechnie obecnej przemocy i biedy. Nie ominie to naszego bohatera, bo komuś z lokalnej mafii spodobał się jego motocykl, a odzyskanie go okupione zostanie licznymi zycami. W naszej przygodzie po jamajskiej wyspie, odnajdziemy wszystko, co nam wcześniej znane: mit o Odyseuszu miesza się z historią znaną z filmu „Złodzieje rowerów” De Sici, okraszona dodatkowo elementami historii o Robin Hoodzie, bo skarby mafijnych złodziei trafiają za sprawą naszych bohaterów do najbiedniejszych. „Rockers” fundują nam wycieczkę pełną przygód i niebezpiecznych momentów, wypełnioną najlepszą jamajską muzyką. Poznajemy kulturę ludzi biednych, lecz niezwykle pogodnych, rozśpiewanych i zawsze chętnych do rozmowy. Odkrywamy miejsce tętniące życiem w całej jego okazałości, wyspę pełną sprzeczności i kontrastów, piękna i przemocy, co czyni ją jeszcze bardziej fascynującą. Całość łączą łagodne w brzmieniu i bezkompromisowe w przekazie pieśni reggae. „Jest jedna rzecz, którą można powiedzieć o muzyce - gdy Cię uderzy, nie czujesz bólu” - śpiewał Bob Marley, a ludzie na Jamajce wydają się tę prawdę odzwierciedlać. Z każdej wyprawy, także tej wirtualnej, trzeba kiedyś powrócić. Warto jednak mieć w zanadrzu kilka podróżniczych planów. Członkowie tureckiej kapeli Siyasiyabend twierdzą, że muzyka „to jedna z tych rzeczy, które mogą odmienić świat”. Tej pewności mieć nie możemy, ale bez wątpliwości pozwala ona podróżować bez paszportu, za darmo.

Michał Mościcki

w ogień!

o płycie KIM NOWAK

Kiedy w 2010 roku grupa Kim Nowak wydała swoją debiutancką płytę, wydawało się, że może to być jednorazowa odskocznia braci Waglewskich od wykonywanego przez nich na co dzień hip-hopu. Bardzo równa, gitarowo-garażowa muzyka, nagrana przez Fisza i Emade ze świetnym gitarzystą Michałem Sobolewskim, była niemałym objawieniem polskiego rocka: powalała wręcz szczerością, energią, pomysłowością. Najlepsze miało jednak dopiero nadejść.

Bo oto po dwóch latach, w listopadzie 2012 r., zespół opublikował album „Wilk”, który w każdym aspekcie dyskredytuje niezwykle udany przecież debiut. „Wilk” to niejako pójdzie za ciosem plus wielokierunkowe



rozwińnięcie wątków już zasygnalizowanych na płycie pierwszej. Uwagę zwraca brzmienie: dalej mocno garażowe i surowe, ale jednocześnie pełniejsze, bardziej selektywne i mięsiste. Porażają wszystkie kompozycje, już nie tak jednorodne jak na debiucie, nadal potwierdzające jednak bezkompromisowe podejście zespołu do swojej muzyki. Muzyki, którą można by scharakteryzować jako mieszankę punkowej szorstkości spod znaku The Stooges (rozpędzony „Lodowiec gigant”) z hardrockowym uderzeniem w ducha Led Zeppelin (ta linia basu w „Krwil!”; ta Bohnanowska perkusja w każdym niemal utworze!), Black Sabbath (ten riff w „Skrzydłach!”), czy rodzimego Breakoutu (niesamowite, zarówno demoniczne jak i kampowe, zaśpiewane przez Fisza w duecie ze znaną z Tercetu Egzotycznego Izabelą Skrybant Dziewiątkowską „Prosto w ogień”, w którym nie tylko ze względu na tytuł pobrzmiewa jakieś dalekie echo „Wielkiego ognia”). Nie oznacza to jednak, że Kim Nowak uprawiają teraz sentymentalną muzykę retro. Wręcz przeciwnie: co rusz słychać tu grunge (ze wskazaniem na Soundgarden – chociażby w utworze tytułowym), indie rock w stylu Dinosaur Jr. (singlowy Mokry pies) lub Sonic Youth (nerwowe „Dwie kropki”), czy stoner rock (motoryczne „Okno”). Do tego już bogatego tygla inspiracji i odwołań Kim Nowak dorzucają muzykę filmową w stylu spaghetti-westernowego Ennio Morricone (znów „Prosto w ogień”), czy Angelo Badalamentiiego (gangsterska



„Noc”). W końcu, są jeszcze świetne jak zawsze teksty Fisza, niekiedy bardziej narracyjne, jakby w konwencji mrocznych opowieści Nicka Cave’a czy Toma Waitsa, do czego autor już nas przyzwyczaił na poprzedniej płycie, kiedy indziej zdecydowanie społeczne, „anty-systemowe” jak „Krew”, która, gdyby nie zawarta w niej spora dawka dystansu i ironii, mogłaby wręcz stać się hymnem Oburzonych. Wybuchowy, kipiący niczym nieskrępowaną energią i inwencją rezultat każe ustawić „Wilka” w jednym szeregu z najlepszymi dokonaniem The White Stripes czy, może nawet bardziej, The Black Keys. W żadnym wypadku nie chodzi tu o jednak naśladownictwo, ale o podobną filozofię i wrażliwość muzyczną, które przekładają się na zdecydowanie najlepszą płytę 2012 roku; najlepszą, bo w moim prywatnym rankingu przebijającą tak udane zeszloroczne albumy jak hipnotyzujące „The Seer” Swans, przepiękne „Standing at the Sky’s Edge” Richarda Hawleya, czy psychodeliczno-gitarowe „Ascent” Six Organs of Admittance. Kim Nowak nagrali po prostu świetną płytę: tylko i aż tyle.

Sławomir Kuźnicki



STACHURA BEZ SWETRA, ZA TO Z KRWI I KOŚCI!

Budyń i Bajzel. Dwie osobowości muzyczne, grające na co dzień w Pogodno, postanowiły stworzyć duet. A właściwie to trio, bo do współpracy zaprosili Stachurę. Tak, Edwarda. Problem w tym, że poeta od lat nie żyje, a interpretacje jego twórczości wielu kojarzą się z ogniskiem i biwakiem. **Koncert BaBu Król**, projektu, który daje poezji Edwarda Stachury drugie życie, już 9 lutego w Sali Kameralnej NCPP. Zanim to jednak nastąpi, proponujemy wywiad z Budyńm, w którym artysta mówi m. in. o męskiej naturze twórczości Stachury, o tym, jak pić wódkę, nie narobić głupot i nie dostać przy okazji w mordę, a także o tym, jak to Stachura właściwie na płytę wprosił się sam.

Marek Szubryt: Na krążku „Sted” reinterpretujecie twórczość Edwarda Stachury, pisarza przez wielu uważanego za kultowego, a już na pewno pisarza, który dorobił się pewnej łatki, by nie powiedzieć gęby.

Jacek „Budyń” Szymkiewicz: Wiesz, jestem zodiakalnym Lwem i może także dlatego mam bardzo wysoką klauzulę uczciwości, również wobec siebie, co czasami bywa problemem. Nie oznacza to od razu, że jestem socjopatą, bynajmniej, bo w przypadku zmierzenia się z legendą czy z własnym odczytaniem jakiejś książki lub filmu, jest to sporym ułatwieniem. Powiem szczerze, że w ogóle nie było problemu, że Pan Edward ma już jakąś gębę, tym bardziej, że Piotr [Piotr „Bajzel” Piasecki – przyp. red.] nie miał żadnego własnego widzenia Pana Edwarda, bo go wcześniej nie czytał. To primo, a secundo - nie miał nigdy okazji słyszeć nagrań ani Starego Dobrego Matżeństwa, ani innych znakomych wykonania.

Chcesz powiedzieć, że Bajzla nigdy dopadły wersje tzw. biwakowo-ogniskowe czy te związane z, nazwijmy to, Bieszczadzkiemi Aniołami?

Nie dopadło go to w ogóle, istna tabula rasa. Co więcej, żeby było zabawniej, jak robił muzykę, to jeszcze nie wiedzieliśmy, że będzie ona połączona z tekstami Edwarda. Pomyśl, by połączyć tę muzykę ze Stachurą, przyszedł nieco później.

Nie wchodziliście do studia z planem, by pracować na poezję Stachury?

Nie, w ogóle. Tym samym działo się to bardzo naturalnie i nie było problemu z żadnym istniejącym już kontekstem. Co więcej, moje patrzenie na prozę i poezję Edwarda Stachury jest... hmm. Próbuję znaleźć dobre określenie, by nie wchodzić w konfrontacje i nie przepychać się z poprzednikami. O, jest mniej więcej takie jak na płycie: my nie staramy się powiedzieć: o prozę, tamto było złe, a dopiero nasza wersja jest w porządku. Tamto odczytanie też jest ważne, to było dla pewnej generacji doświadczeniem pokoleniowym, ta poezja w taki, a nie inny sposób pozwalała ludziom być ze sobą, odbywały się przy niej pierwsze całowania, pierwsze picie wina... Tym samym w ogóle nie mieliśmy zamiaru mówić: o nie, to jest do niczego, jakieś takie oniryczno-flegmatyczne.

Ale przyznasz, że poezja Stachury, jak i sama jego osoba, to postać twardego faceta, który, by przeżyć i stworzyć, miał się prawie każdego zajęcia. Tymczasem wcześniejsze odczytania przywodzą na myśl raczej „krajną łagodność”, niż np. Marka Hłaskę.

Podając cokolwiek do przestrzeni publicznej, zawsze staram się być szczerzy. W moim osobistym odczuciu, i to się nie zmieniło od lat, w jego prozie i poezji jest dużo szalonego, męskiego pierwiastka, a przez lata został przykryty właśnie wspomnianym wcześniej doświadczeniem pokoleniowym i całą tą onirycznością. A tymczasem Stachura to był gość z krwi i kości, prawdziwy polski bitnik. On nie bał się odważnego wgrzyzania w surowe życie, nie bał się dostać ani dać w zęby, nie bał się ciężkiej pracy, a i wiedział, jak się wódki napić i nie narobić przy tym strasznych głupot. Oł, facet... I tego, owszem, w moim odczuciu brakowało w odczytaniu jego twórczości.

Wiem, że jest to rzecz subiektywna, ale czy wybierając piosenki, które znalazły się na „Stedzie”, specjalnie pominęliście tzw. największe hity?

Nie, w ogóle to nie był świadomy zabieg. Najpierw rozpakowaliśmy worek z podkładami muzycznymi i pozwoliliśmy się prowadzić muzyce. Wcześniej oczywiście nabyłem tzw. pięcioksiąg, by mieć wszystko pod ręką. I dzięki takiemu, nazwijmy to, niewymuszonemu sposobowi, fragmenty muzyczne same dopraszały się o konkretny tekst.

Pozwalaliście się prowadzić muzyce.

Tak, zupełnie. Co więcej, trwało to, ja wiem, może jakieś pół godziny? Powiedziałbym tak: teksty i muzyka dobrały się same, albo inaczej, fragmenty muzyczne wręcz same dopraszały się o konkretny tekst. A dopiero później, ale też nie dłużej niż w godzinę, dopisaliśmy melodie. To było bardzo proste, ale zarazem i mocne doświadczenie. Podobnie jak twórczość Stachury.

DVD Na żywo, ale w parku!



„Parklive DVD” zawiera koncert, który zespół zagrał w londyńskim Hyde Parku na zakończenie Olimpiady. Reżyserem całości jest Matthew Amos, a występ rejestrowany był przez 12 kamer. Jako bonus dostajemy również wykonanie piosenek „Under the Westway” oraz „Puritan”, które grupa wykonała na balkonie jednego z londyńskich budynków. Na „Parklive DVD” zespół zaprezentował przekrojowy repertuar, wybierając utwory z całej swojej dotychczasowej działalności. A że lwia część owego repertuaru to typowe hity (chóralne śpiewanie z Damonem Albarnem), to cóż można poradzić? Jako fan muszę przyznać, że Blur jest jednym z ważniejszych zespołów wpisujących się w współczesną muzykę popularną, by nie popaść w patos i nie powiedzieć, że mamy do czynienia z legendą. Stopniowanie napięcia widowiska przez odpowiedni dobór piosenek, kontakt

z publicznością, energia. Wszystko tam jest i wszystko się zgadza. No i widać, że panowie dobrze się ze sobą czują na scenie: swobodnie, z wrodzonym – można by powiedzieć – angielskim poczuciem humoru. Jednak, jako fana, jedna rzecz mnie martwi. Nie ma pewności, jak długo zespół będzie jeszcze występował? A więc bracia i siostry, gdy już w domowych pieleszach nakręcicie się koncertowym DVD Anglików, nie pozostaje wam nic innego, jak ruszyć na jeden z letnich festiwa. A tych w najbliższe wakacje Blur odwiedzi kilka, w tym rodzimy Open'er.

Rafał Czarnecki

MUZYKA Jazz repolonizowany



Pod koniec zeszłego roku ukazała się kolejna, trzecia już płyta grupy Jazzpospolita. Kwartet z Warszawy nie zwalnia tempa i po udanych „Almost Splendid” i „Impulse” przyszedł czas na „RePolished Jazz”, płytę niełatwą,

ale za to bardzo dobrą. Panowie nie boją się wycieczek w rejony z jazzem klasycznym niezwiązane, dlatego na „RePolished Jazz” można usłyszeć zarówno fascynacje elektroniką, jak i mathrockiem. Całość brzmi jakby nieodżałowany Robotobibok spotkał Contemporary Noise Quintet i Jaga Jazzist. Niewykluczone, że usłyszawszy takie porównanie członkowie zespołu nie podskoczyliby z radości, bo słychać, że ich ambicje sięgają wysoko. I słusznie, bo mają ku temu wszelkie podstawy.

Marek Szubryt

MUZYKA Zimowy surfing



Mija termin oddania artykułu do kolejnego MIC'a, a ja nie mam pojęcia o jakim albumie napisać. „Ojciec prowadzący” z wrodzoną uprzejmością, niepozabawioną jednak coraz bardziej wyczuwalnej nuty

nerwowości, dyszy nad uchem, przypominając o zbliżającym się deadline. Tyle dobrych polskich płyt wyszło w zeszłym roku, by wymienić choćby Kamp! czy Hey, a ja dalej nie jestem przekonany. Zagranicznych też nie brakuje: Tame Impala, Grimes oraz wiele, wiele innych. Ale za oknem zimowe wieczory, do których nic mi nie pasuje. Szczęśliwie z niespodziewaną odsieczą przychodzą... Kanadyjczycy. I jeśli myślicie, że chodzi o łączenie się w niedoli spowodowanej śniegiem, deszczem i zawięją, to się grubo mylicie, bo „Celebration Rock” to kawałek dobrego grania, który nie potrzebuje wspomagaczy i uzasadnień. Na najnowszej, drugiej płycie duetu z Vancouver znajdziecie tylko gitarę i perkusję. Słowem, punkowy sznyt i gówniarska bezpretensjonalność. Cały album trwa tylko 35 minut, które mijają w szalonym tempie. Choć panowie nie odkrywają prochu, to z pewnością umieją nie tylko broń nabić, ale i celnie trafić. To energia w czystej postaci, jakby powstała w garażu gdzieś nad brzegiem oceanu w słonecznej Kalifornii. Tylko nie wiem, jak wytłumaczę żonie, że w ziemie nasza mnie ochota na kupienie deski surfingowej.

Rafał Czarnecki

ZALECA SIĘ !

FILM Wstań i walcz!

„Marley” zabiera nas w podróż w głąb małej, karaibskiej wyspy, na której reżyser szuka prawdy o jednym z największych artystów w historii muzyki współczesnej. Dzięki tej wyprawie obserwujemy ewolucję Jamajczyka, który grzecznego chłopca w garniturze raczącego publiczność lekkimi piosenkami w stylu „What’s New Pussycat?”, przeistacza się w zapelniającą największe areny świata ikonę nonkonformizmu, buntu i naturalności.



Ujęcie pierwsze

W historii muzyki popularnej nie brakuje gwiazd, które odeszły przedwcześnie.

Tragiczna śmierć zakończyła kariery Jima Morrisona, Jimiego Hendrixa i Kurta Cobaina. Także Janis Joplin oraz Amy Winehouse nie dożyły trzydziestych urodzin. Wczesna śmierć przerwała także działalność „króla reggae”, muzyka i rebelianta, Boba Marleya, którego globalna rozpoznawalność i sława okazały się niewspółmiernie większe od wyżej wymienionych, choć jako ikona osiągnął bardziej status Che Guevary niż gwiazdy rocka. O jego fenomenie opowiada film dokumentalny „Marley”, doskonale przyjęty na szesnastym festiwalu filmowym w Berlinie. Do realizacji dokumentu przymierzali się najwięksi twórcy współczesnego kina. Pierwotnie miał to być Martin Scorsese, autor doskonałych filmów o Rolling Stones („Shine a Light”) i Bobie Dylanie („No Direction Home: Bob Dylan”). Zabrakło mu jednak czasu. Swoich sił próbował również Jonathan Demme (reżyser słynnego „Milczenia owiec”), który wycofał się w trakcie zdjęć. Ostatecznie wyzwanie podjął Kevin Macdonald, reżyser głośnego „Ostatniego Króla Szkocji”. Aby odróżnić się od większości filmów dokumentalnych o Marleyu, Szkot musiał posłużyć się specjalnym kluczem. Przeprowadził setki rozmów z rodziną, przyjaciółmi oraz współpracownikami muzyka, którzy dzięki swym opowieściom nakreślili obraz mistrza. Siłą filmu stanowią właśnie owe opowiadania i anegdoty, które pomimo iż nadgrzyone zębem czasu, pozostają w ich pamięci, co świadczy o niebywalej sile oddziaływania filozofii, jaką kierował się

muzyk będący mocno uduchowionym wyznawcą rastafarianizmu, piewcą zbawiennej mocy świętego zieleń, czyli ganjii.

Ujęcie drugie

Film jest podróżą w głąb małej, karaibskiej wyspy, na której autor szuka prawdy o jednym z największych artystów w historii muzyki współczesnej. Jego twórczość pełni jednak w filmie funkcję chronologiczną, ukazując metamorfozę, jaką na przestrzeni lat przechodził Robert Nesta Marley, bo tak brzmiało jego pełne imię i nazwisko. Obserwujemy zatem niesamowitą ewolucję artysty. Z grzecznego chłopca w garniturze, który raczy publiczność lekkimi piosenkami w stylu „What’s New Pussycat?” Marley przeistacza się w zapelniającego największe areny świata artystę, którego cechuje nonkonformizm, bunt i naturalność. Poznajemy nieśmiałego młodzieńca, który odrzucony przez białą rodzinę, szuka swojej tożsamości i miejsca w życiu, które trudno zaliczyć do łatwych i przyjemnych. Wychowany w biedzie w najgorszej dzielnicy Jamajki, Trenchtown, w której przemoc i agresja były na porządku dziennym, młody muzyk sięga po gitarę i dzięki swej pasji oraz talentowi, udaje mu się opuścić slumsy na przedmieściach. Nie opuszcza jednak „swoich ludzi”. Okrążając glob z grupą The Wailers upomina się w swoich piosenkach o najuboższych, walczy z niesprawiedliwością, nawołuje do walki o równe prawa i przysługującą każdemu godność. Zwykłą takżemawiać:

„Moje życie jest ważne, jeśli mogę pomóc wielu ludziom. Jeśli moje życie jest tylko dla mnie, to ja go nie chcę”.

Ujęcie trzecie

Macdonald daleki jest od wystawienia Marleyowi laurki. Poznajemy bowiem relację jego dzieci, dla których był surowym i wymagającym ojcem. Widzimy gwiazdę wmanewrowaną w politykę, której nieobce były konflikty z innymi muzykami, wolną duszę otoczoną mnóstwem kobiet, z którymi miał jedenastooro dzieci. Daleko mu jednak było do współczesnego celebryty, przesłania zawarte w swych piosenkach wprowadzał bowiem w czyn. „Moim bogactwem jest życie” - mówił, wspomagając finansowo tysiące ludzi na Jamajce, z którymi bratał się, wypalając wspólnie spliffa i grając w ukochaną piłkę nożną. Paradoksalnie, dziś na wyspie muzyk funkcjonuje już tylko jako produkt, a młodzi Jamajczycy preferują pełną przemoc, przepychu i szowinizmu muzykę dancehall. Na świecie jednak, Robert Nesta Marley, nadal funkcjonuje jako „prorok reggae”, który poprzez swą twórczość wyraził życiowe credo, któremu pozostał wierny do końca - by obudzić się, żyć i walczyć o swoje prawa.

Michał Mościcki

Film „Marley” będzie można zobaczyć w Narodowym Centrum Polskiej Piosenki 6 lutego o godzinie 20.00, bilety: 10 zł.

TIK-TAK



czyli szpan na miarę naszych możliwości

Co wspólnego z polską piosenką może mieć „Tik-Tak”? Tym bardziej, co takiego istotnego dla tejże piosenki zrobić, aby znaleźć się w Muzeum Polskiej Piosenki? Każdy, kto sięgnie pamięcią 20 lat wstecz i przypomni sobie ten program telewizyjny, szybko znajdzie odpowiedź na powyższe pytania.

Pamiętacie zespół Fasolki? W „Tik-Taku” aż rojło się od utworów tej grupy wokalne i większość dzisiejszych trzydziślatków nie powinna mieć problemów z przypomnieniem sobie słów choćby jednego z nich. Wszystko zaczęło się w roku 1981, kiedy to na antenie telewizji (oczywiście jedynej ówczesnej telewizji, czyli publicznej) pojawił się nowy program dla młodych widzów. Początkowo było to widowisko kukielkowe, ale już w 1983 pojawili się w nim żywi aktorzy. Rok 1981 ówczesnym młodym widzom kojarzy się pewnie ze słynnym „Telerankiem”, którego... nie było. Wszystko przez stan wojenny. Tej historii nie trzeba przypominać, gdyż w okolicach 13 grudnia jest co roku regularnie odświeżana,

a generał Jaruzelski, którego małolaty musiały oglądać zamiast „Teleranka”, stał się takim samym symbolem tamtych wydarzeń, jak ZOMO-wiec stojący przy koksowniku czy transporter opancerzony przed kinem Moskwa. Co ciekawe, „Tik-Tak” pierwszy raz zagościł na ekranach właśnie w początkowym okresie stanu wojennego, a fakt, że nie pojawiali się w nim aktorzy wynikał z bojkotu telewizji przez tychże. Kiedy sytuacja w kraju uległa jako takiej normalizacji, skończył się i bojkot, a w „Tik-Taku” mogły pojawić się twarze, które już na zawsze pozostaną jego wizytówką. Główny skład programu: Ciotka Klotka, Profesor

Ciekawski, a przede wszystkim Pan Tik-Tak (grany przez dwóch aktorów). Ciotka Klotka to Ewa Chotomska, Profesor Ciekawski to Andrzej Grabowski, a Pan Tik-Tak początkowo również tenże Andrzej Grabowski, a następnie Krzysztof Marzec. To właśnie Chotomska i Grabowski założyli Fasolki - zespół dziecięcy, którego piosenki stanowiły integralną część programu. Ba, nie tylko piosenki, ale i teledyski. W czasach, kiedy powszechnym zjawiskiem były zespoły po prostu występujące w studio telewizyjnym, a miłośnicy rodzimego popu



GUMKA DO ŚCIERANIA TIK-TAK

z zazdrością spoglądali na to, co na tym gruncie wyczynia np. Michael Jackson, Fasolki do swych utworów miały pełnoprawne wideoklipy. A jakimi hitami zastąpił ten zespół? Takie utwory jak „Witaminki”, „Ogórek”, „Szczotka, pasta, kubek, ciepła woda” czy „Mydło lubi zabawę” - to modelowe przykłady dzieł, które bawiąc - uczą. Zdrowy styl życia wcale nie jest świeżą modą, która przyszła do nas z zachodu i już w schyłkowym PRL dzieci dobrze wiedziały, że zielenina ma dużo witamin, a nawet do czego służy mydło, pasta do zębów, czy ciepła woda... Z kolei „Zając poziomka” sławił maskotkę i jedyną kukielkową gwiazdę programu (swego czasu nie mniej popularną niż Kulfon, żaba Monika czy krasnal Halababa). No i jest jeszcze „Moja fantazja”, przez wielu uważana za jedną z pierwszych polskich piosenek o marihuanie. To tylko kilka przykładów, które kojarzy z pewnością każdy, kto choć kilka razy zasiadł przed telewizorem, aby



OKŁADKA PŁYTY Z NAJWIĘKSZYMI PRZEBOJAMI TIK-TAKA

obejrzeć program, w którym już efektowna czołówka (z charakterystycznym tykaniem i obowiązkową piosenką) zapowiadała nie lada atrakcje. Nic dziwnego, że przy bardzo dużej popularności powstały gadżety ozdobione logo „Tik-Taka”. Co prawda, w żadnym stopniu nie mogą one dorównać produktom, które towarzyszą współczesnym produkcjom dla dzieci, ale już sam fakt ich istnienia wart jest odnotowania. W zbiorach Muzeum Polskiej Piosenki znajduje się kolorowa przypinka, plastikowy daszek i gumka do mazania. Przypinka jak to przypinka: dwukolorowy „badzik”, który mogły sobie przypiąć do tornistra osoby jeszcze zbyt młode, aby ozdabiać swoją garderobę punkowymi emblematami. Daszek z kolei skutecznie chronił przed słońcem, a przy tym stanowił niepozorną,

może i nieco tandetną, zapowiedź mody hip-hopowej, która dopiero miała zalać polskie ulice. Z kolei ostatni z wymienionych eksponatów jest typową gumką, jaką można było znaleźć w piórnikach ucznia w okresie schyłkowego PRL-u: kolorowa, twarda i bardziej rozmazująca ślady ołówka, niż je usuwająca. Komu jednak zależało na funkcjonalności? Liczyło się to, że przed całą klasą można było zaszpanować przedmiotem z logo ulubionego programu. „Tik-Tak” był telewizyjnym programem dla dzieci, który na pewno pamiętają wszyscy urodzeni w drugiej połowie lat 70-tych i w latach 80-tych. I mimo że zniknął z ekranów w 1999 roku, to dawni widzowie o nim nie zapomnieli. Świadczy o tym choćby moda na piosenki Fasolek, która wybuchła parę lat temu oraz fakt, że teledyski



DASZEK NA UPALNE DNI



SZPANERSKI BADZIK

zespołu mają łącznie kilka milionów wyświetleń na YouTube. Dziś już takich programów się nie kręci. Inne czasy, inna telewizja, wreszcie - inna widownia. I mimo że grupka dzieci i wąsaty facet ubrani w kolorowe dresy współcześnie wywoływać mogą głównie uśmiech, a u niektórych i uczucie zażenowania, to nie ulega wątpliwości, że dawka nostalgii w kawałkach Fasolek jest tak potężna, że spokojnie można je uznać za jeden z istotniejszych elementów składowych młodości dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków.

Paweł Panic



ul. Szpitalna 4
tel. +48 791 038 591

www.contrebasse.pl
facebook.com/contrebassecafeclub

Przyjdź do nas z tym kuponem i skorzystaj z pysznej promocji!

4 chrupiące tosty z serem i szynką,
pyszny sos pomidorowy oraz gorąca kawa 9 zł.

Pieczony Camembert z sosem leśnym 10 zł.

Salatka z serem camembert,
lampka białego wina 15 zł.



■ Grawerowanie ■ Laser ■ Sublimacja
COLUMBEX

- Puchary
- Medale
- Dyplomy
- Patery
- Trofea
- Kryształy
- Statuetki
- Upominki
- Wyróżnienia
- Nagrody
- Szkło ozdobne



Pamiątki: Ślubu, Chrztu, Komunii Świętej, Urodzin itp.

www.columbex.com.pl

Opole: Grudzińska 55/Beynonta 16
tel. +48 77 455 05 41
fax. +48 77 458 11 41
sklep@columbex.com.pl

KONKURS!

Zostań współautorem MIC'a!

NAPISZ RELACJĘ Z DOWOLNEGO KONCERTU W SALI KAMERALNEJ NCPP I WYGRAJ ATRAKCYJNE NAGRODY!

„Jagger. Buntownik, rockman, włóczęga, drań” - biografię wokalisty Rolling Stones

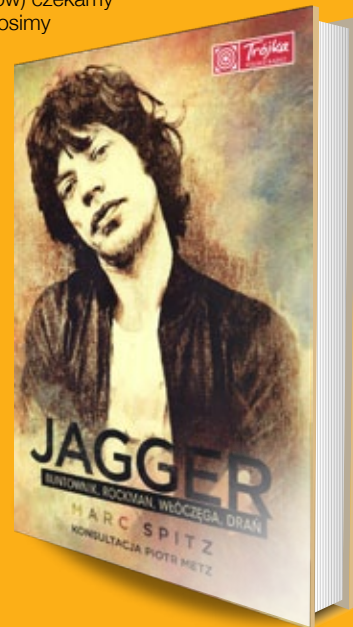
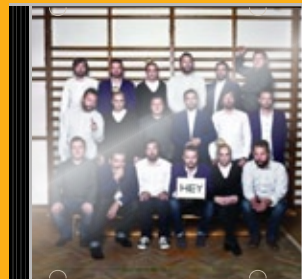
„Do rycerzy. Do szlachty. Doo mieszczan” - najnowszy album grupy Hey

Na teksty (nie więcej niż 2500 znaków) czekamy do 8 kwietnia 2013 roku. Relacje prosimy przysyłać na adres:

mic@ncpp.opole.pl

Najciekawszą relację opublikujemy w majowym numerze MIC'a.

START!



REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA
REKLAMA

REKLAMA

Maximus

fitness club

z tym
kupōnem
sauna
30%
TANIEJ

maximus.opole.pl

ul. Rodziewiczówny 13a
45-348 Opole
tel.: +48 785 194 551

SIŁOWNIA | SAUNA
VACUBIKE | ROLLMASAŻ | MASAŻ



KURIER OPOLSKI

codziennie o 18:30 i 21:45

Oglądaj nas w jakości cyfrowej!

ANTENA: zewnętrzna kierunkowa (na kanały od 21 do 59), kierunek - Chrzelice
SYGNAŁ: nadawany z RTCN Chrzelice
TELEWIZOR: z możliwością odbioru sygnału H.264 MPEG-4/AVC lub dekodera (STB) DVB-T

www.opole.tvp.pl

TVP OPOLE

www.ncpp.opole.pl



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

koncerty przez cały rok

Amfiteatr / Sala Kameralna
Opole, ul. Piastowska 14a

